

Tyle życia, ile pamięci

Kiedy Wanda zapytała, czy nie będę miała do niej żalu, jeśli swoją nową książkę napisze z kimś innym, z całkowitą szczerością mogłam odpowiedzieć, że nie. Miałyśmy za sobą kilkanaście wywiadów do różnych pism i wspólną książkę, wiele godzin spędziłyśmy na roztrząsaniu zawiłości życia kobiet, które chcą realizować swoje pasje bez męskiego wsparcia. Dużo o sobie wiedziałyśmy, może już nazbyt dużo. Zdarzało się, że przeprowadzałam z nią wywiad, pisząc go od początku do końca, zadając pytania i udzielając odpowiedzi w jej imieniu. Wanda czytała, coś tam dopisywała albo i nie, i wszyscy byli zadowoleni.

Poza tym wciąż miałam w pamięci doświadczenia wyniesione ze współpracy przy „Na jednej linii” i nie chciałam ich powtarzać. Tym bardziej że bardzo intensywnie pracowałam wówczas w redakcji „Tygodnika Solidarność” i na dodatkowe obciążenie, jakim byłaby książka, nie mogłam sobie pozwolić.

„Młoda, miła dziewczyna, o górach nie ma pojęcia, ale zdarza się jej zadawać zadziwiająco wnikliwe pytania” – tak scharakteryzowała swą nową partnerkę, Barbarę Rusowicz, autorkę wywiadu-rzeki „Wszystko o Wandzie Rutkiewicz”. Pracowały pod presją czasu – Wanda była przed wyprawą na Kanczendźżongę i chciała zakończyć książkę, zanim wyruszy w Himalaje.

Przedtem jednak poprosiła, bym przeczytała skład gotowy do druku. Przewidywała, iż w tym czasie będzie już w bazie pod Kanczendźżongą, i upoważniła mnie do dokonania poprawek, jeżeli uznam, że będą one konieczne. Uprzedziła o tym wydawcę i liczyła, że nim skieruje książkę do drukarni, otrzymam egzemplarz do korekty.

Mijały tygodnie, a oczekiwana przesyłka nie nadchodziła. Dopiero wówczas, gdy podano wiadomość o zaginięciu Wandy, wydawnictwo wywiązało się z obietnicy. Nie miałam czasu na porządne zapoznanie

się z tekstem, bo poinformowano mnie, że i tak jest już za późno na poprawki. Rozumiałam ten pośpiech, wiadomo, temat był „gorący”, ale było mi przykro, że uniemożliwiono mi spełnienie prośby Wandy. Pocięczałam się, że Wanda autoryzowała książkę w bazie, jak zapewniał wydawca, więc mogłam mieć czyste sumienie – jeżeli ona zgodziła się na publikację fragmentów budzących moje wątpliwości, tych wątpliwości nie powinnam mieć.

Do wielu przykrych i smutnych refleksji, jakie nasuwały mi się w tamtych dniach, doszła jeszcze jedna – to nieprawda, że już wszystko sobie powiedziałyśmy. Nie żałowałam, że to nie ja jestem współautorką jej ostatniej książki, ale żal mi było godzin, które poświęciła na rozmowy z kimś innym. Rozmowy bardzo ważne, jak się okazało, bo nie tylko ostatnie, ale i boleśnie szczere. Ja pozostałam ze świadomością, że coś zostało nie dopowiedziane, że coś ważnego mi umknęło. To uczucie jest udziałem chyba wszystkich ludzi, bo każdy, wcześniej czy później, traci kogoś bliskiego i dojmująco odczuwa swoje zaniedbania wobec tego kogoś, bezpowrotnie utraconego.

Być może moje pisanie o Wandzie – ktoś mógłby powiedzieć: obsesyjne – jest właśnie próbą naprawienia tego, czego już naprawić się nie da? Przyjaźń zaczęła się od wywiadu, rozwijała się podczas pracy nad wspólną książką. „Na jednej linii” to dla mnie przygoda, wejście w świat dotychczas niedostępny. Dla Wandy – dokumentacja górskich dokonań i rozliczenie się z trudnymi relacjami między nią a jej partnerami wyprawowymi. Z kolei „Karawana do marzeń” jest tworem sztucznym – do zdobycia Mount Everestu to poprawiona nieco wersja „Na jednej linii”, wszystko zaś to, co nastąpiło w górach po roku 1978, zrelacjonowałam już bez niej, na podstawie materiałów, muszę przyznać, niezbyt skrupulatnie przeze mnie gromadzonych. Tego również żałowałam, mając świadomość, iż nie zdołam ich już uzupełnić.

Tak więc „Karawana do marzeń” nie jest całkowicie oryginalną książką, raczej kompromisem, zawartym między rodziną Wandy, wydawcą a mną. I choć miałam zastrzeżenia co do publikowania takiej „składanki”, uległam naciskom wydawcy, który miał w tym względzie poparcie rodziny Wandy, a zwłaszcza matki, pani Marii Błaszkiwicz.

Trudno było czerpać satysfakcję autorską z czegoś, co było wprawdzie w miarę zgrabną, ale jednak tylko kompilacją. Myślę, że Wanda nie byłaby zadowolona z kształtu, jaki przybrała „Karawana do marzeń”. I nie tylko ja odczuwałam niedosyt.

Na spotkaniach z czytelnikami, których zdarzyło mi się mieć kilka, pytano mnie, jaka była Wanda Rutkiewicz. Nie jako alpinistka o światowej sławie, gwiazda mediów, obiekt zazdrości i niechęci tak zwanego środowiska, ale jako człowiek. Na to pytanie ani nie potrafiłam, ani nie chcia-

łam wtedy odpowiadać, bo byłoby to próbą utrwalenia i zamknięcia w słowach osobowości niejednoznacznej, tak wyraźnie nie przystającej do potocznej rzeczywistości. Byłoby też, w moim rozumieniu, nadużyciem, gdyż nawet najlepsza znajomość i najgłębsza przyjaźń nie upoważnia nikogo do wydawania sądów o człowieku, zwłaszcza wtedy, gdy on sam już nie może ich zweryfikować. Dla mnie coraz mniejsze znaczenie miało to, j a k a była Wanda. Najważniejsze, że b y ł a...

Ona sama, w skromniutkim graficznie folderze, podsumowującym dotychczasowe osiągnięcia i zapowiadającym kolejne przedsięwzięcia, który wydano w języku angielskim, tak przedstawiała się ewentualnym sponsorom przyszłych wypraw:

Urodziłam się pod znakiem Wodnika, w roku Owcy Wodnej według horoskopu tybetańskiego, w polskiej rodzinie na Litwie. Od roku 1946 mieszkam w Polsce – najpierw we Wrocławiu, potem w Warszawie. W latach 1981–1984 w Tyrolu. Moje związki z Austrią są bardzo ścisłe i datują się od lat sześćdziesiątych, kiedy po raz pierwszy odwiedziłam ten kraj. W 1965 ukończyłam studia w Politechnice Wrocławskiej, z tytułem magistra inżyniera. Przez osiem lat pracowałam w Instytucie Automatyki Systemów Energetycznych we Wrocławiu, a potem przez dziesięć lat w Instytucie Maszyn Matematycznych w Warszawie nad systemami komputerowymi. Obecnie jestem profesjonalną alpinistką na pół etatu, a część swojego czasu poświęcam także na realizowanie filmów górskich, pisanie i prelekcje. Jestem autorką dwóch książek wydanych w Polsce („Zdobycie Gasherbrumów” i „Na jednej linii” – E.M.) oraz kilku filmów prezentowanych przez polską i austriacką telewizję.

Jako studentka byłam członkinią narodowej reprezentacji junierek w piłce siatkowej i uczestniczyłam w przygotowaniach do igrzysk olimpijskich w Tokio. W roku 1961 po raz pierwszy odkryłam emocje wspinaczki skalnej i alpinizmu, które stały się moją pasją.

W książkach i tekstach prasowych poświęconych Wandzie na ogół podaje się w porządku chronologicznym wszystkie zdobyte przez nią szczyty. Wymienione są również w tym folderze. Ale nie tylko one...

Sądzę, że o tym, czego się w życiu dokonało, świadczą nie tylko sukcesy, ale i przedsięwzięcia, które się nie powiodły. A w alpinistycznej karierze Wandy i takie również się zdarzały, szczególnie w latach osiemdziesiątych. Wystarczy porównać pozycje z nagłówkiem *Summits* i te z nagłówkiem *Attempts*. To zestawienie ma dla mnie znaczenie nie tylko dokumentu – przy niektórych „szczytach” i „próbach”

znajdują się ręcznie naniesione przez Wandę czerwonym cienkopisem uzupełnienia (zaznaczone tutaj nawiasami). I tak lista sukcesów wygląda następująco:

- 1968 - Trollryggen, Filarem Wschodnim, pierwsze wejście kobiecego zespołu
- 1970 - Pik Lenina 7134 m
- 1972 - Noshaq 7489 m
- 1973 - Eiger, Filarem Północnym, drugie wejście, pierwsze w zespole kobiecym
- 1975 - GASHERBRUM III 7952 m, pierwsze wejście, kierownik męskiej i kobiecej wyprawy na Gasherbrum II i III (11 VIII)
- 1978 - Matterhorn, północną ścianą, zimą, zespół kobiecy
 - MOUNT EVEREST 8848 m, trzecie wejście kobiece, pierwsze polskie
- 1979 - Grand Capucine, wschodnią ścianą, drogą Bonattiego, zespół kobiecy
- 1985 - Aconcaqua 6959 m, południową ścianą w stylu alpejskim
 - NANGA PARBAT 8125 m, ścianą Diamir, wyprawa kobieca (15 VII, Anna Czerwińska, Krystyna Palmowska, Dobrosława Miodowicz-Wolf)
- 1986 - K2 8611m, pierwsze kobiece wejście z Liliane Barrard, pierwsze polskie wejście (23 VI, Maurice Barrard, Michel Parmentier)
- 1987 - SHISHA PANGMA 8047 m (18 IX)
- (12 VII 1989 - Gasherbrum II 8035 m, wyprawa kobieca, Rhona Lampard)
- (16 VII 1990 - Gasherbrum I 8068 m, wyprawa kobieca, Ewa Panejko-Pankiewicz)

Lista porażek jest zdecydowanie krótsza, a niektóre pozycje na niej figurujące za kilka lat znajdują się po stronie zwycięstw (Nanga Parbat, K2, Annapurna). Do prób nieudanych, które jednak również świadczyły o skali jej dokonań, należą:

- 1976 - Nanga Parbat ścianą Rupal, do wysokości 6500 m
- 1982 - K2, kierownik wyprawy kobiecej
- 1984 - K2, wyprawa kobieca, do wysokości 7400 m
- 1985 - Broad Peak 8047 m, do wysokości 7800 m
- 1986 - Makalu 8485 m, do wysokości 8000 m
- 1987 - Annapurna 8091 m zimą, do wysokości 7000 m
 - Cerro Torre drogą Maestriego, zespół kobiecy
- (1989 - Yalung Kang, próba zimowa)
- (1990 - Makalu do 7800 m)

Ten bilans kończy się następującą zapowiedzią: (*Next: Kanchenjunga-Yalung Kang 8505 m zimą, Gasherbrum II 8035 m, wyprawa kobieca*).

Cały ten tekst jest skreślony na czerwono i również na czerwono Wanda nakreśliła swe plany: (1991/92 *all* 8000).

Potem była jeszcze Annapurna południową ścianą, samotnie, Cho Oyu, nieudana wyprawa na Dhaulagiri i Kangczendźonga...

Wanda, w przeciwieństwie do mnie, nie należała do grona wielbicieli westernów i z całkowitym niezrozumieniem tej fascynacji przyjmowała moje stwierdzenie, iż oto po raz trzynasty obejrzałam „Siedmiu wspaniałych”. Jednak przemówił jej do wyobraźni sposób, w jaki jeden z bohaterów filmu, grany przez Roberta Vaughna, dokonał życiowego bilansu: „Domu? Nie mam. Rodziny? Nie mam. Przyjaciół? Nie mam. Wrogów? Nie mam. Przynajmniej żywych”.

Ona miała namiastkę domu, rodzinę, z którą nie była zbyt blisko, kilkoro przyjaciół. Wrogów chyba nie miała, może raczej grupkę osób zawistnych i niezyczliwych, tworzących niedobłą atmosferę wokół niej. Wydawało się, że jest ponad to, choć niekiedy dawała upust rozgoryczeniu. Na ogół jednak godziła się z tym, iż budzi skrajne emocje.

Czy góry były dla niej ucieczką od świata, który coraz mniej rozumiała i akceptowała? A może kierowała nią niepokromiona ambicja – być pierwszą, najlepszą, jedyną? Nawet za cenę samotności, bólu i strachu?

Nie wyobrażałam sobie Wandy pracującej na etacie od godziny do godziny, gotującej mężowi i dzieciom obiady, zajmującej się rutynowymi czynnościami domowymi. Tym bardziej ona sama sobie tego nie wyobrażała, choć na użytek czytelniczek prasy kobiecej deklarowała niekiedy chęć odmienienia swego życia w taki sposób, by stało się bardziej „normalne”. Wiedziała jednak doskonale, że to niemożliwe. Więc jaki miała wybór? Iść coraz wyżej, walczyć z górami i ze sobą? Podążać za swymi marzeniami i patrzeć, jak się oddalają? Tak jak szczyt Kangczendźongi, niknący w śnieżnej zadymce...

Przez czternaście lat przeprowadziłam z Wandą wiele wywiadów. Gdy ułożyłam je w takim porządku, w jakim powstawały, i raz jeszcze przeczytałam, tym razem jako pewną całość, dostrzegłam, iż w sposób niezamierzony wprawdzie, ale dość konsekwentnie ilustrują nie tylko osiągnięcia Wandy w górach. Tych najistotniejszych rozmów jest siedem. I one stanowią oś konstrukcyjną tej książki, w nich Wanda raz jeszcze mówi o górach, o sobie, o swoich przyjaciołach i antagonistach.

Jest to też opis naszej przyjaźni, niełatwej, to pewne, lecz nie dającej się zastąpić żadną inną. Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych. To łatwe pocieszenie, gdyby było prawdą. Czasami jednak zdarza się spotkać kogoś takiego, kogo nieobecność zawsze będzie budzić żal. I tym kimś jest dla mnie Wanda.

„Uciec jak najwyżej” to pożegnanie z Wandą, z pisaniem o niej. Są w nim, obok wywiadów, moje wspomnienia, niekiedy sentymentalne, egzaltowane, innym razem odsłaniające brutalną prawdę o górach i ludziach, niekiedy też w nie najlepszym świetle stawiające i Wandę, i mnie. Ale tak było – śmiesznie czasami, czasami paskudnie, dramat mieszał się z groteską, uczucia najcieplejsze z zimną furją. Jak w życiu.

EDMAROWO, lipiec 1999